

Swiridow a sprawa polska

2 czerwca 2015

Rzucenie opinii publicznej na pożarcie rosyjskiego dziennikarza Leonida Swiridowa było dość naturalnym wyborem, w kontekście braku w Polsce innych prominentnych Rosjan, których można by ku uciesze gawiedzi przeczołgać przez media z piętnem piątej kolumny Putina.

Obława na Leonida Swiridowa przyspieszyła wraz – nie sposób nie odnotować – z przyspieszeniem kampanii wyborczej. Rosyjski dziennikarz, który stanowi „rzeczywiste i poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa” od 17 października 2014 – wtedy to szef ABW wystąpił do wojewody mazowieckiego o wywalenie Swiridowa – swobodnie funkcjonował w Polsce przez kolejne pół roku, co i raz to informowany przez urząd o kolejnych przedłużeniach terminu. Ostatnie miało się zakończyć 20 maja, tymczasem nagle, 28 kwietnia wieczorem, wojewoda mazowiecki przez umyślnego pchnął do adwokata Swiridowa decyzję o „cofnięciu zezwolenia na pobyt rezydenta długoterminowego”. Już następnego dnia w sprawie Swiridowa wypowiedział się rzecznik Kremla, Dymitri Pieskow, który wyraził żal z powodu „nieprzyjaznego stanowiska polskich władz”, dodając: „szkoda, że Polska ogranicza działanie zagranicznych mediów w sposób sprzeczny z międzynarodowymi standardami”.

W połowie maja konferencję prasową poświęconą sytuacji Swiridowa i z jego udziałem poprowadził w ambasadzie rosyjskiej ambasador Sergiej Andrejew.

Sąd w Warszawie 2 czerwca rozpatrzy wniosek o odtajnienie sprawy rosyjskiego dziennikarza

Zapytany, czemu zawdzięcza takie wyróżnienie, dziennikarz odparł, że „po prostu jest obywatelem rosyjskim”, co było jako żywo aktem nieszczerzej skromności. Los Loni Swiridowa stał się jednym z elementów sytuacji międzynarodowej, ważkim zagadnieniem z obszaru „konflikt Rosja-Ukraina, a sprawa

polska". Inna sprawa, czy potrzebnie.

Prawdziwe kulisy całej tej zadymy wydają się dość głupawe. Jesienią zeszłego roku ABW wykryła kilku szpiegów GRU wśród rosyjskiego korpusu dyplomatycznego. Wydalenie ich odbyło się jednak po cichu, zapewne w wyniku nacisków polskiego MSZ, które chciało uniknąć spektakularnej akcji odwetowej. Ale ABW chciała pochwalić się sukcesem, pokazać, że czuwa. To wtedy nastąpiło głośne aresztowanie podpułkownika Zbigniewa J., który w Departamencie Wychowania i Promocji Obronności MON zajmował się organizowaniem wystaw fotografii amatorskiej „Pamiętka z wojska”, a GRU za niewielkie kwoty przehandlowywał informacje o żołnierzach, którzy mieli postępowanie dyscyplinarne za spóźnienie z przepustki albo mordobicie w knajpie. Drugim aresztowanym był Rosjanin z podwójnym obywatelstwem, Stanisław S., który w domu wypisywał sobie na karteczce nazwiska polskich polityków w tarapatach, fantazjując o ich werbunku dla Kremla. Obydwaj tkwią w areszcie wydobywczym już ponad pół roku, w połowie kwietnia dostali kolejne trzy miesiące sankcji – co może wskazywać, że sprawa przeciw nim nie jest tak jasna i znakomicie udokumentowana, jak słyszeliśmy jesienią.

Mało tego, wykrycie Zbigniewa J. i Stanisława S. to zasługa SKW, ABW wykonała wyłącznie „realizację” – co skwapliwie podkreślały donoszące o sprawie media: „jak wynika z ustaleń naszych dziennikarzy śledczych, na trop tej współpracy wpadli oficerowie Służby Kontrwywiadu Wojskowego”... Skądinąd trudno się dziwić, że SKW jak lwica walczy w tej sprawie o swoje – kontrwywiad wojskowy, powstały w wyniku działań Antoniego Macierewicza i jego operetkowej, choć fatalnej w skutkach reformy WSI, jest formacją cieszącą się w środowisku polskich specsłużb prestiżem nie tyle zerowym, co ujemnym i sukces jest mu potrzebny jak powietrze. W sumie, za swoją ciężką pracę na kierunku wschodnim, ABW nie otrzymała należnych laurów i najwyraźniej uznała, że coś z tym trzeba zrobić. A polityczni przełożeni służby postanowili pójść jej na rękę.

Dlaczego padło na Leonida Swiridowa? Z nieoficjalnych enuncjacji chcących zachować anonimowość informatorów prasy wynika, że prowadził bliżej nieokreśloną, niespiegowską, ale nielegalną, niebędącą przestępstwem, lecz szkodzącą państwu polskiemu działalność, obejmującą zapewne marketing i lobbying, ale nie w ramach Klubu Wałdajskiego, którego jest przedstawicielem, i nie w obszarze organizowania wyjazdów studyjnych dla dziennikarzy, bo dziennikarze mają prawo zdobywać wiedzę, a firmy, nawet rosyjskie, wiedzę tę przekazywać... Zapewne jestem nieobiektywna – przyjaźnię się z Lonią od paru lat – ale mam jednak pewien problem ze zrozumieniem, jak działalność nielegalna i szkodząca państwu może być niekaralna; a jeśli jest karalna, to dlaczego Swiridow, nieposiadający immunitetu dyplomatycznego korespondent prasowy, nie ma być pociągnięty do odpowiedzialności.

Być może zatem kłopot Swiridowa polega na tym, że był najbardziej znanym z 4 – słownie czterech – korespondentów mediów rosyjskich akredytowanych w Polsce. Na co nałożył się nader niski prestiż zawodu dziennikarza w polskiej opinii publicznej. W państwach ustabilizowanej demokracji zachodniej robienie kozła ofiarnego z przedstawiciela mediów nie jest dobrze postrzegane: interpretowane bywa jako próba cenzury, zamach na prawo społeczeństwa do wiedzy. W Polsce, nie bez naszej – mam na myśli środowisko – zasługi, dziennikarze postrzegani są jako forma pośrednia między hieną a hyclem, a na skali prestiżu zawodów lokujemy się między ekspedientem a budowlańcem niewykwalifikowanym. Z drugiej strony, dzięki rozwojowi tzw. telewizji informacyjnych, gdzie do ulubionych (bo najtańszych) form programu należą wywiady dziennikarzy z dziennikarzami, zwane „dyskusjami publicystów” – żurnaliści przestali być anonimowi, weszli do grona celebrytów. W sumie, rzucenie opinii publicznej na pożarcie rosyjskiego dziennikarza było dość naturalnym wyborem, w kontekście braku w Polsce innych prominentnych Rosjan, których można by ku uciesze gawiedzi przeczołgać przez media z piętnem piątej

kolumny Putina.

Co więcej, sędzę, iż podejmując decyzję o skarmieniu rosjanożerców Lonią Swiridowem nikt nie spodziewał się, że posiłek zacznie wierzgać. Prawdopodobnie twórcy tej wyrafinowanej akcji piarowskiej tkwili w zrozumiałym, acz błędnym przekonaniu, że prominenty dziennikarz kremlowskich mediów posiada w Moskwie komfortowe zaplecze, z gwarancją pracy, okazałym kontem, kochającą rodziną i widokiem na mury Kremla. Tymczasem Swiridow mieszka w Polsce od 17 lat, przez pół wieku swego życia w Rosji przemieszczał w Moskwie do kupy kilka miesięcy, a z rodziny ma schorowanego ojca na Białorusi. Toteż, zamiast pokornie spakować walizki, Swiridow wdał się z ABW w wojnę, której koniec, wbrew pozorom, pozostaje niewiadomy.

Decyzja z 28 kwietnia nie jest oczywiście prawomocna i dziennikarz już się od niej odwołał, ale nietrudno zgadnąć, jaka będzie decyzja szefa urzędu ds. cudzoziemców, którym jest powołany jeszcze przez premiera Kaczyńskiego absolwent KUL, Rafał Rogala. Polskie prawice mogą walczyć ze sobą na śmierć i życie, ale w sprawie stosunku do Rosji – a także szerzej, do cudzoziemców w Polsce – rozumieją się znakomicie. Kłopot polega wszakże na tym, że decyzja ta najpewniej nie należy ani do wojewody, ani do szefa urzędu.

Swiridow ma bowiem statut rezydenta Wspólnoty Europejskiej i jego odebranie musi być zgodne z przepisami europejskimi, zawartymi w dyrektywie Rady Unii Europejskiej 2003/109/WE. A precyzyjnie art. 9 ust 3 dyrektywy, który stanowi, iż klient „traci status rezydenta długoterminowego, jeżeli stanowi zagrożenie dla porządku publicznego, ze względu na powagę popełnionych przez niego przestępstw”. Inaczej mówiąc, do odebrania statusu rezydenta konieczne jest skazanie wyrokiem sądowym za poważne przestępstwa. Dyrektywa przewiduje, że cudzoziemca można wydrzeć ze względu na zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa, bez udowadniania mu przestępstw (nasza ustawa o cudzoziemcach nazywa to uprzejmie „zobowiązaniem do

powrotu”) – ale to są dwie różne procedury. Opisane zarówno w polskiej ustawie jak i w europejskiej dyrektywie – i dopiero koniunkcja tych zapisów czyni procedurę legalną. W przypadku Swiridowa legalność ta budzi wątpliwości: postępowanie przeciwko niemu toczy się nie w przedmiocie wydalenia, tylko pozbawienia statusu rezydenta, gdyż aby wydalić rezydenta, najpierw musi on przestać być rezydentem – toteż wiele wskazuje, że konieczny jest tu wyrok sądu, a nie decyzja administracyjna.

Nawiasem mówiąc, próba przepchnięcia tego procesu metodą decyzji administracyjnej ma dalsze konsekwencje. Otóż, zgodnie z ustawą o ABW, „wykorzystanie dowodu uzyskanego podczas stosowania kontroli operacyjnej jest dopuszczalne wyłącznie w postępowaniu karnym”. Inaczej mówiąc, jeśli Agencja jakiegokolwiek zarzuty wobec Swiridowa oparła na podsłuchach, bilingach, przechwyconych mailach etc. – wojewoda miał obowiązek je odrzucić. Co więcej, miał obowiązek ustalić, czy nic takiego nie miało miejsca – a jak znamy zamiłowanie polskich służb do podsłuchów, trudno sobie wyobrazić, że takich materiałów tam nie ma. Tymczasem uzasadnienie decyzji wojewody nie wskazuje, żeby podjął on jakąkolwiek próbę weryfikacji tzw. dopuszczalności w postępowaniu administracyjnym domniemanych dowodów ABW.

To kolejny argument na rzecz wniosku Swiridowa o odtajnienie wyprodukowanych przez ABW materiałów na jego temat. Wniosku, który zresztą stał się kolejnym argumentem przeciwko niemu: „Zebrany materiał, te 250 stron, do których na pewno pan Swiridow bardzo chciałby dotrzeć” – ironizował w poświęconym sprawie Swiridowa programie „Studia Wschód” TVP Info niejaki Maciej Sankowski, przedstawiony jako „analityk ds. służb specjalnych”. „Kim jest Leonid Swiridow: rosyjskim szpiegiem czy tylko wpływowym dziennikarzem, który zagraża bezpieczeństwu Polski” poprzez „organizowanie wyjazdów do firm rosyjskiego oligarchy Wiaczesława Kantora”, który „skupuje akcje Azotów” – pytała autorka programu, red. Maria

Przełomiec, którą skądinąd wspominam z niezwykłą sympatią z co najmniej dwóch wyjazdów do firm Kantora, organizowanych przez Leonida Swiridowa. A analityk odpowiadał, że oczywiście materiałów nie zna, ale „śmie się domyślać, że wniosek był świetnie udokumentowany” bo „tych przykładów na pewno było na tyle dużo, aby wojewoda nie miał najmniejszej wątpliwości, jaką decyzję powinien podjąć”. I jeszcze, że to „na pewno bardzo konkretne przypadki” wprawdzie nie szpiegostwa, ale „działania na szkodę Polski”, bo ta „granica jest niezwykle cienka”, tym niemniej takie działanie „musi budzić emocje”.

Osobiście lubiłabym myśleć, że emocje musi budzić skazywanie człowieka na banicję z kraju, który miał prawo uważać za swój dom, w ramach sądu kapturowego, na podstawie zarzutów, których treści nie mógł poznać. A jeśli nie emocje, to chociaż wątpliwości – tak jak budzi wątpliwości NSA i Sądu Najwyższego, a także Trybunału w Strasburgu, który wielokrotnie stwierdził, iż takie postępowanie łamie prawo do obrony. Z rozmów z Leonidem Swiridowem wiem – podobnie jak wiedzą to chłopcy z ABW, którzy bez wątpienia rozmów jego słuchają – że ma on zamiar walczyć do końca, przez wszelkie szczeble administracyjne i sądowe. Jeśli zatem ABW naprawdę ma coś na niego w tych mitycznych 250 tajnych stronach kwitów – niech to wywali na stół i oszczędzi sobie i państwu czasu i zachodu. Sam Swiridow wie, co robił w Polsce przez ostatnie 17 lat, więc trudno sobie wyobrazić, jaką szkodę może przynieść pokazanie mu tego.

Jeśli rzeczywiście prowadził działalność wrogą, szkodliwą, niemoralną – to pokażcie to Polakom, żeby widzieli, kiedy i gdzie zachowywać czujność. Ja na pewno chciałabym to wiedzieć, bo jeśli Leonid jest szpiegiem, który szkodzi Polsce, nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Ale jeśli Swiridow miał zostać kozłem ofiarnym ochłodzenia na linii Warszawa-Moskwa – to pora poszukać innego. Ten okazał się zbyt uparty.

Autorstwo: Agnieszka Wołk-Łaniewska

Źródło: pl.SputnikNews.com